



arch. Piotr M. Glegoła
architekt IARP

La Condition arc-humaine

**Pewnego poranka
dumając w wannie nad
kondycją architektów
stwierdziłem, że trzeba
zacząć od początku.
Przepasany ręcznikiem
a'la gladiator stanąłem
przed lustrem...**

Kiedy redaktor naczelny Z:A przypomniał mi, że mam napisać felieton o „kondycji architektów”, przeraziłem się. Otóż z hasłem „kondycja” mam niezbyt pozytywnie skojarzenia. Od lat budzi ono we mnie wiele kompleksów, o których staram się na co dzień zapomnieć. Wrogiem stało się dla mnie lustro, waga łazienkowa, wysokie budynki bez windy oraz złośliwie usytuowane miejsca, do których nie można dojechać samochodem...

Pewnego poranka dumając w wannie nad kondycją architektów (samej Agacie Christie najlepsze pomysły przychodziły do głowy właśnie w wannie!) stwierdziłem, że trzeba zacząć od początku czyli od **kondycji wizualnej**. Postanowiłem, że jako Szeregowy Członek Izby stawię czoła tematowi i sam na sobie sprawdzę kondycję architektów. Przepasany ręcznikiem a'la gladiator (aby dodać sobie animuszu) stanąłem przed lustrem. Stwierdziłem ze smutkiem, że nie przypominam ucznia Spartakusa. Jakoś inaczej wyglądały ich mięśnie w rejonach klatki piersiowej i brzucha. Próba zaprezentowania bicepsów w sposób w jaki robią to kulturyści, też nie wypadła najlepiej. Biceps naprężony i nie naprężony wyglądał tak samo, mimo usilnych i długich starań.

Pomyślałem, że może pobiegam, aby sprawdzić moją **kondycję fizyczną**, przecież w liceum biegałem codziennie. Ciekawy byłem ile mam teraz „na setkę”. Niestety nie dowiedziałem się tego, bo po mniej więcej dwudziestu metrach biegu dziwnie zakłuło mnie w piersiach i straciłem oddech.

Próby odzyskania **kondycji lingwistycznej i muzycznej** też nie wypadły najlepiej. Ponieważ Metallica i Motörhead jakoś nie dają się słuchać z taką fascynacją jak niegdyś, przerzuciłem się pewien czas temu na muzykę chilloutową, nucąc sobie piosenki dla treningu pamięci i osłuchania z językami. Spaliłem tę konkurencję, kiedy odwiedziła mnie pewna dystygnowana klientka (znany historyk sztuki), z prośbą aby poprawić na oczekaniu jakiś drobiazg w projekcie, który dla niej robiłem. Wprowadzając poprawkę zanuciłem sobie pewien przebój Lany Del Rey. Nucąc, zauważyłem kątem oka, że dama z lekkim

rozbawieniem uniosła brwi, zlustrowała mnie jakoś dziwnie wzrokiem i zapytała po chwili namysłu obojętnym tonem „czy rozumiem tekst tej piosenki?”. Odparłem zgodnie z prawdą, że nie, ponieważ jestem tylko francuskojęzyczny. Po mojej odpowiedzi klientka założyła nogę na nogę i kręcąc palcem jakiś loczek i zaczęła mi się przyglądać jakoś tak, że przyszła mi na myśl z przerażeniem jeszcze **inna kondycja**, o której przecież nie napiszę, bo Z:A to poważne czasopismo. Na szczęście skończyłem w tej chwili poprawkę, a klientka jakby czymś urażona szybko wyszła. Rzuciłem się do internetu, aby sprawdzić, o czym śpiewa Lana Del Rey w piosence pt. „Cola”. No cóż... Z racji na powagę tych łamów nie mogę napisać o czym – sami sobie sprawdźcie, jeśli nie wiecie.

No właśnie – zawężenie znaczenia hasła „kondycja” do słów „wizualna”, „fizyczna”, „muzyczna”, „lingwistyczna” czy ta „inna” – bardzo zubożyłoby moją ocenę, postanowiłem więc sprawdzać dalej. Już tego samego dnia w urzędzie spotkałem kumpla architekta i spróbowałem wysondować jak z organizacją spraw **kondycji intelektualnej** radzą sobie inni architekci. Zacząłem dosyć typowym „co słychać?”, ale zanim zdążyłem rozwinąć to pytanie o szczegóły, kolega odpowiedział. „No wiesz, robimy konkursy, oferty...” Jego słowotok przerwałem brutalnie, wyjaśniając, że miałem na myśli, co słychać oprócz spraw zawodowych, kładąc akcent na słowo „oprócz”.

Spojrzał na mnie dziwnie, jakbym go zapytał o aktualną cenę mięsa wieprzowego w półtuszach na giełdzie w Tokyo. Szok i pustka w oczach, później lekka panika i wreszcie... rezygnacja. Odpowiedział „no wiesz! tyle problemów, głównie gonię za forszą...”, szybko pożegnał się smutny i poszedł.

Niestety **kondycja biznesowo-organizacyjna** też chyba nie jest wśród architektów najlepsza. Od kilku lat usiłuję namówić paru kumpli, aby wynająć wspólnie duży lokal w centrum o tzw. „dobrym adresie” i założyć „spółkę lokalową”. Czyszn i wynagrodzenie sekretarki na spółkę, sala konferencyjna do wspólnego użytku, cała reszta oddzielnie – każdy prowadzi własną działalność i ma własnych klientów. Moje koleżeńskie namawianie pozostaje bezskuteczne, tymczasem miałem ostatnio potrzebę pilnego kontaktu z adwokatem. Już sam adres kancelarii spowodował w mojej głowie skojarzenia: stara kamienica, marmurowe schody, zapach skórzanych foteli, skrzypiąca podłoga, zabytkowa biblioteka wypełnionych starymi oprawionymi w skórę woluminami oraz... cena usługi 300 euro za godzinę. Poszedłem na spotkanie i faktycznie – stara kamienica, marmurowe schody, zapach skóry... Tylko cena ku mojej ucieście okazała się zdecydowanie bardziej atrakcyjna (choć jestem przekonany, że była ona atrakcyjna także i dla mecenasa). Ale przy okazji można było z tym adwokatem porozmawiać o kondycji fizycznej, językach, teatrze, kinie, wystawach, samochodach, o deregulacji wolnych zawodów, a na koniec nawet polecił mi fajną książkę. Po kilku spotkaniach okazało się, że ta kancelaria to właśnie „spółka lokalowa”, a adwokat prowadzi jednoosobową działalność.

Myślę, że wszystkie te niedostatki kondycyjne przekładają się w efekcie na **kondycję finansową**, której nam wszystkim tak bardzo obecnie brakuje. Nie wiem dlaczego, ale przypomniało mi się w tym kontekście pewne żartobliwe powiedzonko mojego śp. ojca, który mawiał „dlaczegoś biedny? – boś głupi – a dlaczegoś głupi? – boś biedny”. Myślę, że ten kto nie jest głupi – zrozumie. ■